



Jak już pisałam, po Lubelskiej Bitwie na Wiedzę jej uczestnicy otrzymali symboliczne upominki, a redaktorki Uni(i)Wersalu dostały zupełnie co innego. Nie podarowano nam biżuterii, nowej pary szpilek, kosmetyków - wyszliśmy z Centrum Targowo-Wystawienniczego wzbogacone tylko o kilka dodatkowych literek w komórkowym notatniku. To jednak zupełnie wystarczyło, aby teraz udostępnić Wam, Drodzy Czytelnicy, wywiad z człowiekiem, którego fajni określają jako „niesamowitą osobę, rewelacyjnego gitarzystę i mężczyznę o wspaniałym głosie”. Z ogromną satysfakcją publikujemy rezultat półgodzinnej rozmowy z Panem Wojciechem Cugowskim.

Urodził się Pan dokładnie w tym roku, w którym Pana ojciec opuścił Budkę Suflera aż na osiem lat...

No nie, rok wcześniej, bo w siedemdziesiątym szóstym, a ojciec odszedł w siedemdziesiątym siódmym, ale to mniej więcej jest ten sam moment.

Czy to odbiło się w jakimś stopniu na Pana dzieciństwie, na atmosferze w domu?

Czy ja wiem? Nie pamiętam. Jak miałem rok, dwa, trzy lata - takich czasów się nie pamięta... Pierwsze moje wspomnienia dotyczące ojca to takie, że wyjeżdżał do Wrocławia, bo tam przeniósł się ze swoją muzyczną działalnością i tam miał zespoły. Jeździł aż do osiemdziesiątego drugiego, trzeciego roku, do momentu powrotu do Budki. Czy to miało wpływ?... Jakiś na pewno, ale nie jestem w stanie tego ocenić.

Wychowywała Pana jedna z najbardziej rozpoznawalnych osób z polskiej sceny muzycznej. Czy to wywierało jakąś presję? Bywały momenty, kiedy myślał Pan, że wolałby mieć bardziej przeciętnego ojca?

Nie, nie, nigdy nie miałem takich myśli. Nigdy nie chciałem mieć innego taty, ani innej mamy. To jest chyba normalna sprawa, o ile coś złego nie dzieje się w domu. U nas się nie działo. Na pewno był to trochę inny dom ze względu na to, że ojciec się zajmował muzyką, ale nigdy nie chciałem być w innej rodzinie.

Niektórzy ludzie twierdzą, że Pan i Pana brat jesteście wypromowani przez ojca, dzięki niemu zaistnieliście w mediach i że jego pozycja w muzycznym świecie napędza Waszą karierę. Co Pan o tym myśli?

Pytanie, czy to mogło zaszkodzić, czy pomóc? (śmiech) Nie wiem, nie wiem, w jakim stopniu... Na pewno to, czym ojciec się zajmuje i zajmował również wtedy, kiedy byliśmy młodzi, miało na nas wpływ. Oglądaliśmy ten zawód od kuchni i to była dla nas zupełnie naturalna sprawa - myślę, że tak samo, jak na przykład dzieciom lekarzy powszednieją medyczne tematy. Nam się na tyle spodobało, że postanowiliśmy to robić zawodowo, chociaż to też nie było założone od samego początku. To nam odpowiadało i poszliśmy tą drogą. Czy kariera ojca w jakiś sposób nam pomogła, czy zaszkodziła? Nie wiem tego. Jest spora grupa osób, która myśli, że tata utorował nam drogę i że było nam tylko łatwiej, a to nie jest prawda. Pierwszą płytę nagraliśmy, jak miałem dwadzieścia dziewięć lat. Do tego momentu borykaliśmy się z najróżniejszymi rzeczami - począwszy od składu, po styl muzyczny. Myślę, że w ogromnej mierze sami siebie wymyśliliśmy, kim chcemy być, co chcemy grać i jak się prezentować... A z dorobku muzycznego taty jesteśmy bardzo dumni i miło jest nam wciąż go słuchać.

Był Pan wokalistą rockowego zespołu Topsy Train, którego brzmienie było zorientowane na klasykę hardrocka lat 70' i 80'. Utwory tej grupy osiągały wysokie lokaty na listach przebojów. Był Pan dumny z przynależności do tego zespołu? Jak Pan wspomina tamten okres?

Na pewno byłem dumny. My założyliśmy z Grześkiem ten zespół, mając po piętnaście, szesnaście lat. Zaczęliśmy od coverów swoich ulubionych zespołów, oczywiście z pierwszych nagrań i występów byliśmy bardzo dumni. Graliśmy utwory Black Sabbath, Deep Purple, Whitesnake, Rainbow, czyli takich zespołów, na których muzyce się wychowywaliśmy. To była ogromna frajda.

Później śpiewał Pan w zespole Alligators, aż wreszcie przyszła kolej na „Braci”. To był krok naprzód w Pana karierze? Coś w rodzaju muzycznego wyzwolenia?

Czy ja wiem? To była naturalna kolej rzeczy. Rzeczywiście, najpierw Piotrek i ja zajmowaliśmy się muzyką oddzielnie. Na pewno każdy etap tej muzycznej drogi był krokiem naprzód - czy to z płyty na płytę, czy z koncertu na koncert. Zanim założyliśmy z Piotrkim taki prawdziwy zespół, były inne zespoły, fantastyczne wieczory w Klubie Graffiti, gdzie wydarzyło się wiele fajnych, muzycznych rzeczy i gdzie zawiązywały się zespoły. Później zaczęliśmy grać we dwójkę i to był początek zespołu „Bracia”. Graliśmy koncerty akustyczne tylko na gitarę i głos. Dopiero potem nadszedł moment, kiedy pomyśleliśmy, że trzeba zebrać skład i spróbować się z całym zespołem. Wracając do pytania - tak, myślę, że każdy etap był w jakiś sposób rozwijający.

W zespole gra Pan ze swoim bratem - Piotrem. Przez tyle lat wychowywaliście się razem. Nie męczycie się sobą?

Nie, myślę, że nie. Gramy tyle lat, nagraliśmy kilka płyt, zagraliśmy mnóstwo koncertów, objechaliśmy Polskę wzdłuż i wszerz i cały czas to działa. Cały czas mamy nowe pomysły na to, co robić dalej. Oczywiście, bywają takie momenty, kiedy mamy różnicę zdań albo jesteśmy nieco znużeni, ale to się zdarza w każdym zespole. Jesteśmy najbliższą rodziną, trzymamy się, gramy dalej i nie myślimy o tym, żeby przestać.

Na jednej ze stron internetowych sprawdziłam ranking piosenek zespołu „Bracia”. Najwyżej plasuje się „Nad przepaścią”, zaraz potem „Za szkłem” i „Po drugiej stronie

chmur”. A które z piosenek zespołu są Pana ulubionymi?

To trudno powiedzieć, bo w każdy utwór, który się nagrywa, wkłada się całego siebie. Zawsze się chce, żeby ten akurat był najlepszy... Ja pewnie wymienilibym inne, ale to są utwory, które rzeczywiście przyniosły nam sporą popularność.

Na tej samej stronie znalazłam komentarz do jednej z piosenek, który brzmiał: „Bracia zawsze piszą piosenki z serca, cudownego serca, i jak piszą smutne i niesamowite piosenki, to lzy same płyną po policzkach”. To jest właśnie Wasz cel?

Z pewnością muzyka sama w sobie powinna nieść emocje i dostarczać emocji słuchaczom i mamy nadzieję, że w naszym przypadku tak właśnie jest. To jest bardzo miły komentarz. Cieszę się, że słuchacze nas doceniają i lubią nasze piosenki. To jest oczywiście też jeden z celów działalności – docierać swoją twórczością do słuchaczy.

Internauci określają Pana jako niesamowitego gitarzystę i twierdzą, że po koncertach nie mogą zasnąć z wrażenia. To na pewno podbudowuje. A co z krytyką - raczej motywuje czy odwrotnie? Pamięta Pan jakieś szczególnie nieprzychylne słowa, które w jakiś sposób na Pana wpłynęły?

(śmiej) O tym to nie słyszałem... Czy ja wiem? Wpłynąć nie wpłynęły zbyt. Oczywiście, zależy od tego, jaka to jest krytyka - jeżeli internetowa, anonimowa, wynikająca z jakiejś nieuzasadnionej nienawiści, to staram się ją okrążyć i iść dalej. Nie zdarzyło mi się też, żeby ktoś, kogo zdanie szanuję, w mocny sposób mnie skrytykował. Cenię pochwały, ale ważniejsze jest to, jak sam się czujesz - co potrafisz, czego nie potrafisz, jak chcesz dotrzeć do ludzi.

Współpracował Pan z wieloma artystami. Czy jest wśród nich osoba, którą wyjątkowo Pan ceni?

Najbardziej sobie cenię współpracę ze swoim zespołem i to w tym konkretnym momencie, w tym konkretnym składzie - czyli Piotrek, Tomek Gołąb, Jarek Chilkwicz i Bartek Pawlus. Oczywiście, że z nimi współpracuję najdłużej i najchętniej. Były też takie miłe chwile, kiedy

Po drugiej stronie... szkła - czyli krótka, kawiarniana rozmowa

Wpisany przez Paulina Basiak

niedziela, 02 marca 2014 19:47 - Poprawiony niedziela, 02 marca 2014 19:57

miałem możliwość współpracowania z muzykami spoza Polski. To był chociażby Billy Sheehan, basista zespołu Mr. Big. Mieliśmy z Piotrkim okazję grać z Tommym Aldridgem, perkusistą Whitesnake. To były bardzo przyjemne sytuacje, ale najbardziej lubię grać ze swoim zespołem.

Grał Pan na skrzypcach, fortepianie, a nawet na altówce. Dlaczego w końcu wybrał Pan gitarę?

Ja skrzypiec nie wybierałem. Jak szedłem do szkoły, miałem siedem lat i rodzice postanowili, że poślą mnie na skrzypce, bo to jest instrument, który bardzo dobrze kształtuje słuch. Trzeba naprawdę dużo na nich ćwiczyć i dobrze słyszeć, żeby grać czysto. Ja niestety skrzypiec nigdy nie lubiłem. Gdzieś w połowie mojej edukacji muzycznej przerzuciłem się na altówkę, na której zasady grania są dokładnie takie same, ale jest niżej strojona i utwory są znacznie łatwiejsze do zagrania. Fortepian to był dla mnie koszmar, bo po prostu nie lubiłem na nim grać, nie lubiłem na nim ćwiczyć. Migąłem się od zajęć. Dopiero, kiedy ojciec przyniósł mi gitarę akustyczną, to na niej ćwiczyłem najchętniej, do tego siadałem z ogromną przyjemnością. Sama szkoła muzyczna dała mi dużo podstaw i teorii, ale to była ciężka praca, za którą nie przepadałem.

Pamięta Pan może pierwszy koncert przed wielką publicznością?

Na pewno pamiętam pierwszy koncert. To było w 1994 roku. Był taki przegląd zespołów muzycznych w "Zamoyu" i to był pierwszy koncert zespołu Topsy Train. Graliśmy utwory swoich ulubieńców i pamiętam, jak bardzo byłem stremowany. Pamiętam też jeden z takich naprawdę olbrzymich występów - Przystanek Woodstock, na którym wystąpiliśmy tylko raz w 2009 roku. Zagraliśmy utwór „With a little help from my friends”, który na oryginalnym festiwalu Woodstock w 1969 roku zaśpiewał Joe Cocker. Na scenie było kilkadziesiąt osób, przed nią kilkaset tysięcy. To na pewno było ogromne przeżycie. Myślę, że każdemu pierwszemu koncertowi, który przygotowujemy z „Braćmi” - czy to akustycznemu, czy z nowym programem - zawsze towarzyszy trema. Czy wszystko wyjdzie, czy spodoba się ludziom? Te pierwsze rzeczy są najtrudniejsze i przysparzają najwięcej nerwów. Festiwale, chociażby w Opolu czy Sopocie, kiedy trzeba wyjść na jeden utwór i od razu zagrać go dobrze, są ciężkie - raz gitarzyście w ogóle nie zagrała gitara, na kolejnym nie było słychać basu.

Skoro już jesteśmy przy koncertach... Śpiewanie wciąż tych samych piosenek nie jest zbyt rutynowe?

Po drugiej stronie... szkła - czyli krótka, kawiarniana rozmowa

Wpisany przez Paulina Basiak

niedziela, 02 marca 2014 19:47 - Poprawiony niedziela, 02 marca 2014 19:57

Są pewne utwory, które musimy zagrać, bo publiczność tego od nas wymaga, ale z każdym rokiem modyfikujemy program. To, że się gra te same utwory to jedna rzecz, ale jak się gra ten sam program przez trzydzieści koncertów, to się już zaczyna grać na pamięć. Złapałem się nawet na tym, że poruszam się w identyczny sposób do konkretnych kawałków. Rutyna nie jest wskazana, więc staramy się, żeby koncerty różniły się od siebie. Oczywiście wykonania tych samych piosenek też nie są zawsze dokładnie takie same - nie jesteśmy robotami, zawsze coś się zmienia.

A myśli Pan, że gdyby Pański ojciec nie był muzykiem, Pan poszedłby inną drogą?

Nie wiem. Trudno powiedzieć, to było dla mnie zupełnie naturalne, że ojciec stoi na scenie, śpiewa, występuje i często wyjeżdża. To było moje życie i jest do tej pory. Gdybym tego nie czuł, nie potrafił tego robić, a robił to tylko dlatego, że mój ojciec się tym zajmuje, to byłoby bez sensu. Muzyka towarzyszy mi od najmłodszych lat i cieszę się, że mogę robić to, co lubię i że tym samym znalazłem sposób na życie.